

Matthew Leonard

MODLITWA DZIAŁA!

Ogarnij katolicką duchowość



MATTHEW LEONARD

Modlitwa działa! Ogarnij katolicką duchowość

Przełożyła Anna Wawrzyniak-Kędziorek

Tytuł oryginału

Prayer works! Getting a Grip on Catholic Spirituality

© Copyright © 2014 by Matthew Leonard

© Copyright for this edition by Wydawnictwo W drodze, 2025

Redaktor prowadząca – EWA KUBIAK

Redakcja – PAULINA JESKE-CHOIŃSKA

Korekta – EWA ROZMIAREK, PAULINA JESKE-CHOIŃSKA

Skład i łamanie – LUCYNA STERCZEWSKA

Redakcja techniczna – JÓZEFA KURPISZ

Projekt okładki i layoutu – KRZYSZTOF LORCZYK OP

Fotografia (s. 2) – SIMON MARMION, *Zdjęcie z krzyża* (ok. 1473).

Ze zbiorów Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku.

ISBN 978-83-7906-855-5 (wersja drukowana)

ISBN 978-83-7906-856-2 (wersja elektroniczna)

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.

Wydanie I

ul. Kościuszki 99, 61-716 Poznań

tel. 61 850 47 52

sprzedaz@wdrodze.pl

www.wdrodze.pl

Spis treści

PRZEDMOWA — 5

ROZDZIAŁ PIERWSZY: Po co się modlić? — 9

ROZDZIAŁ DRUGI: Czym jest modlitwa? — 21

ROZDZIAŁ TRZECI: Modlitwa i droga oczyszczenia — 33

ROZDZIAŁ CZWARTY: Oświecenie i zjednoczenie — 47

ROZDZIAŁ PIĄTY: Jak działa modlitwa? — 57

ROZDZIAŁ SZÓSTY: Rozmowa z Bogiem — 73

ROZDZIAŁ SIÓDMY: Medytacja — 93

ROZDZIAŁ ÓSMY: Kontemplacja — 109

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY: Dźwięk ciszy — 127

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY: Jak wzrastać — 139

ROZDZIAŁ JEDENASTY: Do kogo się modlimy? — 155

ROZDZIAŁ DWUNASTY: Praktycznie rzecz biorąc — 169

ROZDZIAŁ TRZYNASTY: Porzucenie — 183

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Matthew Leonarda, był pogrążony w modlitwie.

Obserwowałem go z daleka. Siedział w samochodzie zaparkowanym przed moim domem. Prawdopodobnie błagał Boga, żeby zamienił mnie w słup soli. Jako bogobojny, wierny Biblii ewangelik wiedział, że istnieje precedens, który dopuszcza takie działanie (zob. RDZ 19,26). I z pewnością czuł, że to właściwy moment na dramatyczną interwencję z nieba.

Spotkałem się z jego rodzicami. Oboje aktywnie działali we wspólnocie protestanckiej. Tata był pastorem, a mama pisarką. Przejechali kawał drogi, żeby zobaczyć się ze mną – obecnie teologiem katolickim, dawniej pastorem ewangelickim. Mieli pytania i byli żądni odpowiedzi. Matt wybrał się z nimi z Illinois do Ohio, żywiąc nadzieję, że w trakcie podróży zdoła ich odwieść od tych zamiarów. A ponieważ mu się nie udało, opuścił ich na ostatnim odcinku – nie

wszedł do mnie do domu. Zamiast tego siedział w rozgrzanym jak piec samochodzie i modlił się, by moja katolicka teologia nie wywarła wpływu na jego rodziców.

Jak się domyślacie, nie jestem – i nigdy nie byłem – słupem soli. Co nie znaczy, że Matt Leonard nie potrafi się skutecznie modlić. Wręcz przeciwnie.

Matt Leonard modli się – i robi wszystko inne – intensywnie, transparentnie i w skupieniu. Mam zaszczyt często obserwować, jak się modli, teraz już z całkiem bliskiej odległości.

Niedługo po tym pierwszym „widzeniu” znów stanął u moich drzwi. Tym razem rozpoczął katechumenat – a później studia teologiczne – i szukał lokum na czas nauki. Więc obserwowałem go na modlitwie z bliska – w towarzystwie mojej rodziny – w trakcie semestru, który spędzał u nas. W tamtym roku, czyli 1998, został przyjęty do Kościoła.

Teraz widuję go, jak modli się ze swoją rodziną na mszy świętej. Modlimy się też wspólnie na rekolekcjach i w gabinetach, które dzielimy w Centrum Teologii Biblijnej św. Pawła.

Kiedy widzę, jak się modli, chcę go naśladować. Pozostał dobrym synem, który prosi Boga o dobre rzeczy; ale teraz ma też świadomość, że jest Jego synem i idzie tam, dokąd On go poprowadzi. Zdaje sobie również sprawę z tego, że takie życie będzie pełne niespodzianek i przygód. Jego życie takie właśnie jest. Bóg często nie spełniał jego prośb, by otrzymał to, czego naprawdę mu trzeba.

Kiedy Matt siedział uparcie przed moim domem, nie było wątpliwości, że modli się intensywnie. A odpowiedź Boga okazała się jeszcze intensywniejsza. Jeśli chociaż

trochę znacie się na fizyce, możecie się domyślić, że to połączenie nadało naszemu przyjacielowi pęd ku wierze katolickiej.

Po (niełatwej) drodze poznał wielowiekową katolicką tradycję życia duchowego, jej ścieżki, środki i etapy, i zrozumiał, że jest ona głęboko zakorzeniona w Biblii. Dowiedział się, że ci wszyscy święci od dawien dawna byli zanurzeni w Piśmie Świętym i żarliwie wcielali je w życie.

Poznał wartość ciszy – zrozumiał, że warto się przyknać, nawet na modlitwie, nawet w jej trakcie. (Ach, oby więcej z nas się tego nauczyło! Obym ja się tego nauczył!).

A do tego głosi Ewangelię z niesamowitym poczuciem humoru. Zauważycie to na kartach tej książki. Matt jednocześnie bawi i prowadzi nas ku rozpoznaniu naszych słabostek. Możemy się utożsamić z jego staraniami, upadkami i ostatecznym podporządkowaniem się Bożej łasce. Podobnie jak G.K. Chesterton pomaga nam dostrzec radość wplecioną w tkaninę stworzenia i odkupienia.

Większość książek o modlitwie sprawia, że duchowość wydaje się sucha i nudna jak skład betonu. Uwielbiam to, jak beton ułatwia mi życie, ale nie mam ochoty o nim czytać. Większość książek o duchowości sprawia, że modlitwa wydaje się równie rozkoszna, co zestawienie wyników badań krwi.

Matt Leonard ukazuje radość życia modlitewnego, życia duchowego – jakkolwiek je nazwiemy. Ta książka jest dla wszystkich, bez względu na wiek, sytuację życiową czy to, ile lektur na ten temat macie już na koncie.

Ta książka to zaproszenie, nie obciążenie, i tak właśnie powinno być. Bóg wzywa nas na ucztę weselną (zob. Ap 19,9).

SCOTT HAHN¹

¹ Dr Scott Hahn kieruje Katedrą Teologii Biblijnej i Nowej Ewangelizacji im. o. Michaela Scanlana na Franciszkańskim Uniwersytecie w Steubenville, na którym wykłada od 1990 roku. Jest także założycielem i prezesem Centrum Teologii Biblijnej św. Pawła i autorem wielu książek, takich jak *Uczta Baranka* oraz *Nieście i przyjmujcie Dobrą Nowinę*.

Oświecenie i zjednoczenie

DROGA OŚWIECENIA

Drugi etap życia duchowego polega na zakochiwaniu się. Zaczynasz miłować Boga nie za to, co robi, ale za to, Kim jest. A skupiając się mocniej na Bogu, zaczynasz też tracić zainteresowanie sprawami tego świata. Co nie znaczy, że w ogóle cię nie obchodzą. Po prostu nie pragniesz ich tak bardzo, jak wtedy, gdy po raz pierwszy ruszałeś w podróż ku Bogu.

Możliwe, że w jakimś stopniu doświadczyłeś już tego, o czym mówię. Dostrzegasz, że rzeczy doczesne są tym, czym są – rzeczami. Nie przynoszą ci satysfakcji. Ta piękna sukienka jest ledwie skrawkiem materiału. Ten śliczny samochód to jedynie kawałek metalu, który przenosi cię z miejsca na miejsce. Twój wymarzony dom po prostu już cię nie ekscytuje. Tracisz zamięłowanie do świata i zaczynasz się od niego odłączać.

Niektórzy z was pewnie szepczą sobie w głowie: „Nie chcę tracić zamięłowania do tego świata. Muszę w nim żyć

i chcę się tym cieszyć”. I nie mogę się z wami nie zgodzić. Życie jest po to, by żyć nim w pełni, i Kościół to rozumie. Katolicy postrzegają ten świat jako dobro – nasza religia opiera się na zmysłach, jak dowodzą sakramenty i nabożeństwa. Poprzez świat fizyczny zbliżamy się do Boga, który pragnie, byśmy cieszyli się życiem.

Jednak, choć Bóg dał nam ten niesamowity wszechświat i wszystko, co się w nim znajduje, wiemy, że koniec końców, to nie wystarczy. Poczucie to przybiera na sile, kiedy przechodzimy na wyższe poziomy życia duchowego i zaczynamy tęsknić za światem przyszłym. „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1 KOR 2,9).

Ten świat jest jak zwiastun hitu kinowego – to tylko przedsmak przyszłej chwały. Kiedy dojrzewamy i coraz bardziej skupiamy wzrok na Bogu, kontemplacja Jego dzieł w modlitwie sprawia, że coraz mocniej utożsamiamy się ze św. Pawłem, który pisze: „Dla mnie bowiem żyć – to Chrystus, a umrzeć – to zysk” (FLP 1,21).

GRZECH NA DRODZE OCZYSZCZENIA

Odlączenie od świata może nam także pomóc bardziej miłować bliźnich. Przedkładamy potrzeby innych nad swoje, ponieważ zaczynamy kochać jak Chrystus. Co ciekawe, miłość ta działa nawet wtedy, gdy grzeszymy. Niestety grzech może stawać nam na drodze, aż do końca życia. Pewien irlandzki ksiądz powiedział mi kiedyś, że przestanę grzeszyć dopiero trzy dni po śmierci (nie był optymistą). Różnica polega na tym, że w tym okresie życia duchowego zazwyczaj nie grzeszysz z premedytacją.

Na tym etapie człowiek podejmuje bardzo świadomy wysiłek wzrastania w świętości. Oznacza to, że popełnia innego rodzaju grzechy niż dotąd. Zwykle zdarzają mu się grzechy powszednie – czyli takie, które nie zrywają relacji z Bogiem – i zmagają się z głębszymi kwestiami, takimi jak pycha, brak cierpliwości, próżność i tak dalej.

Na drodze oświecenia można oczywiście popaść w grzech śmiertelny. Ale kiedy to się stanie, zwykle z wielką skruchą przyznajemy się do winy – rozumiemy wartość tego, co utraciliśmy. Żal przychodzi szybciej i jest głębszy. Pamiętasz, jak gorzko płakał św. Piotr, kiedy zaparł się Pana?

Podobnie jak Piotr żałujemy mocniej niż dotąd, bo teraz już rozumiemy, że jesteśmy prawdziwymi synami i córkami Boga, a nie sługami, którzy boją się kary. Świadomość tego, że zawiedliśmy Ojca, nie daje nam żyć. Czujemy się fatalnie. Pamiętasz, jak spodziewałeś się klapsa, ale zamiast tego rodzice mówili: „Bardzo mnie rozczarowałeś”? To było okropne!

Nawet kiedy zachowamy się dziecinnie, to nie cofamy się do dzieciństwa. Podobnie jest z grzechem śmiertelnym – nawet gdy go popełnimy, to nie cofamy się do początków naszego życia duchowego. Stracimy postępy dopiero wtedy, gdy rzucimy wszystko i wrócimy do życia w duchowej śmierci.

UNIKAJ SŁODKICH NAPOJÓW

Na wyższych poziomach życia duchowego rozwój jest tak potężny, że – jakkolwiek wariacko by to zabrzmiało – człowiek zaczyna akceptować próby i cierpienia. Tak, dobrze słyszałeś. Wielu z nas, którzy dotąd sądzili, że idzie im

całkiem nieźle, myśli sobie teraz: „Chyba nie jestem taki pobożny, jak myślałem” albo „Nie jestem pewien, czy chcę być aż taki pobożny”. Zaakceptować cierpienie? Pogięło cię? Niby jak? No cóż, to trochę jak ze słodkim napojem Kool-Aid.

Amerykańskie dzieciaki dobrze pamiętają dreszczyk emocji na wieść o tym, że dostaną Kool-Aid. Myślały sobie: „Ale by było super, gdyby było tak jak w reklamie! Zawołałbym »Hej, Kool-Aid!«, a wielki czerwony dzban w trykocie rozwaliliby ścianę i nalał mi szklaneczkę pysznego syropu kukurydzianego o wysokiej zawartości fruktozy z dodatkiem barwnika numer 5”. Równie dobrze mogliby cię przywiązać do worka na paszę, po brzegi wypełnionego białym cukrem. Teraz nie tknąłbym tego świństwa nawet za pieniądze (choć nadal mam sentyment do czerwonego „wasa”, który zostawał po wypiciu).

Stojąc z kubkiem zimnej, słodkiej śmierci w płynie, nie wyobrażałem sobie, jak dorośli mogą pić wino. Ohyda! Co oni w tym widzą? Ale później dojrzałem (tak jakby) i teraz uwielbiam wina cabernet, malbec i pinot noir.

Nawet jeśli jesteś przekonany, że nigdy czegoś nie zapragniesz, w którymś momencie może się to zmienić. Grzech sprawił, że rzeczy, które prowadzą nas do Boga, stoją w opozycji do naszego obecnego, upadłego stanu. Są jak smaki nabyte, wyuczone. Kiedy moja najstarsza córka po raz pierwszy spróbowała wina, stanowczo stwierdziła: „Nie smakuje mi!”. Na początku nikomu nie smakuje. Właśnie stąd nazwa „smaki nabyte”, głuptasie.

Jeśli nie byłeś jednym z tych przerażających dzieciaków, które naprawdę szybko weszły w okres dojrzewania – wiesz, chłopakiem, który w piątej klasie miał już brodę

i tubalny głos – prawdopodobnie udawałeś, że twoje pierwsze piwo ci smakuje. Na swojej pierwszej „dorosłej” imprezie wolałbyś popijać owocowego radlera – czyli alkoholową wersję Kool-Aid. Ale w miarę upływu czasu i po iluś razach (bo przecież nie możesz odstawać od reszty facetów) piwo przestaje smakować jak po-myje. Naprawdę zaczynasz mieć ochotę na kufel belgijskiego pszenicznego z kremową pianką. Teraz już nic go nie przebijie.

Tak samo jest z rozwojem życia duchowego, a zwłaszcza z cierpieniem. Wiedząc, że prowadzi nas do Boga, zaczynamy go pragnąć, bo Bóg jest wszystkim!

NIECH KTOŚ WŁĄCZY ŚWIATŁO!

W miarę postępów uświadamiasz sobie, jak płytkie jest życie dla tego świata, dążysz do świętości i cnoty, modlisz się regularnie i żarliwie, czujesz Bożą obecność – i nagle przychodzi kryzys. To chyba najtrudniejsze doświadczenie w twojej duchowej podróży – przejście duszy z drogi oświecenia na drogę jedności, na stopień najwyższy. To ostatni rytuał przejścia w duchową dorosłość.

Dlaczego kryzys? Święty Jan od Krzyża nazywa ten proces oczyszczeniem ducha, „nocą ciemną duszy”¹. Wiem. To nawet brzmi niepokojąco. Jak coś, czego nadejście mogłoby zwiastować Vincent Price albo Darth Vader.

¹ Określenie „noc ciemna duszy” dotyczy zarówno oczyszczenia zmysłów (które następuje między drogami oczyszczenia i oświecenia), jak i oczyszczenia ducha (duszy), które stanowi przejście z drogi oświecenia na drogę zjednoczenia. Tytuł dzieła ściślej odnosi się do tego drugiego stanu (zob. Kieran Kavanaugh, *The Collected Works of St. John of the Cross*, przeł. O. Rodriguez CS Publications, Washington D.C. 1991, s. 354).

Noc ciemna duszy to poczucie opuszczenia przez Boga, którego doświadczają osoby na najwyższych stopniach modlitwy i życia duchowego. To proces ostatecznego oczyszczenia, w trakcie którego uczymy się szukać Boga, bez względu na to, jak odległy się wydaje. Podczas gdy na wcześniejszych etapach zwykle towarzyszy nam silne poczucie Bożej obecności, w nocy ciemnej ono znika. Bóg jest, ale już tego nie czujesz – kompletnie.

Jan od Krzyża wiedział, o czym mówi. Napisał *Noc ciemną*, będąc więziony przez braci z własnego zgromadzenia, przeciwnych jego pomysłom na reformy w zakonie karmelitów. To poemat o podróży duszy ku jedności z Bogiem i o mrocznych próbach, których musi doświadczać, odłączając się od świata doczesnego.

W nocy ciemnej duszy chodzi o to, by posprzątać dom – pozbyć się z naszego życia wszystkiego, co sprzeciwia się Bogu. Nie możesz postawić nowych mebli, dopóki nie wyniesiesz starych. A z powodu naszej słabości nie jesteśmy w stanie tego zrobić w pojedynkę. Tu musi wkroczyć Bóg. On oczyszcza duszę na tak głębokim poziomie, że nawet nie zdajemy sobie sprawy z Jego działania. Dlatego ów stan przejściowy życia duchowego bywa nazywany biernym oczyszczaniem duszy.

Paradoks oczyszczenia polega na tym, że z jednej strony posunęliśmy się już na tyle daleko, by doświadczać szaleńczego pragnienia Boga, niczym oblubienica czekająca na oblubieńca w Pieśni nad Pieśniami (Polecam. Ta księga jest lepsza od harlequinów). Wiemy, że On jest wszystkim, czego chcemy. „O nocy, coś prowadziła / Nocy ty miłsza nad jutrznię różną! / O nocy, coś zjednoczyła / Miłego z ukochaną”² – woła Jan.

² Św. Jan od Krzyża, *Noc ciemna*, s. 498.

Z drugiej jednak strony, przytłaczające doznanie nocy ciemnej to duchowa posucha. Brak pragnienia miłości, dojmująca pustka, poczucie opuszczenia przez Boga. Oczywiście, w rzeczywistości Bóg nigdy nas nie opuszcza. Tak nam się tylko wydaje, ponieważ nasze nieczystości zostają obnażone przed czystością Boga. To tak, jakbyśmy wychodzili z ciemnego kina na rażące słońce – musimy zmrużyć lub zasłonić oczy. Przez chwilę mamy wrażenie, że słońce działa przeciwko nam, choć tak naprawdę po prostu jeszcze nie przywykliśmy do jego światła.

Noc ciemna wystawia duszę na rozpaloną do białości Bożą miłość. Nasze nieczystości sprawiają, że czujemy wielką niedolę i dusza „widzi wyraziście, że jest niegodna Boga, jak również całego stworzenia”³ – pisze św. Jan. Na tym etapie cierpienie wewnętrzne jest tak silne, że „śmierć byłaby ulgą”⁴. Przypomina mi to lament Dawida: „Ogarnęły mnie fale śmierci i zatrwożyły mnie odmęty niosące zagładę; oplątały mnie pęta Szeolu, zaskoczyły mnie sidła śmierci” (Ps 18,5–6).

„No, dzięki za słowa otuchy, Matt! Nie mogę się doczekać! (Dalej, chłopaki, zabieramy się stąd)”. Chwila, kolego. Jeszcze nie skończyłem. A raczej Bóg nie skończył. Tak jak ogień pożera i przemienia kłódę, tak bierne oczyszczenie w nocy ciemnej upodabnia nas do Boga. Nie ma się czego bać, bo to jest to, o co nam chodzi – to ostatnia przemiana przed wejściem do Jego chwały. Gdy się nad tym głębiej zastanowić, takie oczyszczenie to początek procesu, który dokonuje się w czyśccu, a kończy wejściem do wiecznych rozkoszy całkowitego zjednoczenia z Bogiem.

³ Tamże, s. 554.

⁴ Tamże.

Dominikanin Reginald Garrigou-Lagrange, wielki autor literatury duchowej, porównuje noc ciemną do tego, czego doświadczyli apostołowie, kiedy Chrystus wstąpił do nieba. Ci ubodzy uczniowie od lat pozostawali w bliskiej przyjaźni z Jezusem, coraz więcej pojmowali i wzrastali w miłości do Pana. Słuchali głoszonych z mocą nauk. Widzieli cuda. Niektórzy byli obecni podczas przemienienia i ujrzeli chwałę Pana. U szczytu swojego życia oglądali Zmartwychwstałego. Wszystko szło świetnie! To był gość, a oni należeli do jego drużyny. Lepiej być nie mogło. Ale czterdzieści dni po zmartwychwstaniu Jezus zniknął pośród obłoków (zob. Dz 1,9).

Jednak to nie był finał ich podróży. Doświadczenie Boga nie zakończyło się na duchowej ciemności i poczuciu samotnienia. Podobnie i my nie będziemy doświadczać nocy ciemnej wiecznie. Trzecie nawrócenie w życiu duchowym prowadzi do jeszcze głębszej relacji z Bogiem.

Ojciec Garrigou-Lagrange wskazuje, że po dziewięciu dniach od Wniebowstąpienia apostołowie weszli na zupełnie nowy poziom relacji z Chrystusem, zjednoczyli się z Nim – a to zmieniło wszystko. W dzień Pięćdziesiątnicy Duch Święty zstąpił na nich i zamienił ich w duchowe prądnice. Jeszcze bardziej zgłębili tajemnice Boga i życia nadprzyrodzonego. Żarliwie nauczali. Czynili cuda. Modlili się z mocą. Przyprowadzili do Boga tysiące ludzi, którzy zbudowali Kościół katolicki. Apostołowie dzierżyli wielką władzę, ponieważ spotkawszy się z Duchem, doświadczyli wybuchu miłości do Boga. Całkowicie do Niego należeli i byli pełni życia po brzegi.

Według ojca Garrigou-Lagrange podobnie wygląda droga zjednoczenia. Wkroczyliśmy w nowy wymiar naszej

więzi z Bogiem. Tak jak mężczyzna i kobieta wchodzi w głębszą relację poprzez sakrament małżeństwa, tak i my jednoczymy się z Bogiem w ekstazie, wobec której wszystko inne blednie. Głębiej poznajemy tajemnice Boże i doświadczamy Go w sposób, którego często nie da się opisać. Dlaczego? Ponieważ możemy zakosztować wieczności.

To ostateczna śmierć „dawnego człowieka” i przyobleczenie „nowego” (zob. KOL 3,9–10). Noc ciemna duszy to próba, poprzez którą wreszcie pojmujemy, jak kochać Boga całym swoim sercem, całą swoją duszą i całą swoją mocą.

Życie, które nas czeka na tym ostatnim etapie rozwoju duchowego, jest niczym innym jak duchową rozkoszą. Odnajdujemy pokój, który przekracza wszelkie rozumienie, i niewysłowioną radość ze spotkania z Bogiem. Napawamy się Jego miłością do nas, jako do swoich dzieci, czujemy się bezpiecznie, wiedząc, że wszystko jest dobrze, nieważne, co się stanie. Przechodzimy w nowy stan egzystencji, z którym może konkurować tylko niebo. I o to właśnie chodzi. Do tego dążymy. A kluczem, który otwiera drzwi do tego nowego życia, jest modlitwa.

Jesteśmy gotowi do modlitwy!
Nasze dusze zostały stworzone,
aby rozmawiać z Bogiem. Nikt nie
zna nas lepiej od Niego ani się bardziej
o nas nie troszczy. Modlitwa nie jest
zarezerwowana dla wtajemniczonych.
Jest dla każdego, bez względu na wiek,
sytuację życiową czy doświadczenie.
Matthew Leonard pokazuje, że kiedy
się modlimy, odzyskujemy radość
i sens życia. Odkrywamy na nowo
cud i głębię bliskiej obecności Boga.
Modlitwa naprawdę działa!

Cena det. **39,90 zł**

ISBN 978-83-7906-855-5



9 788379 068555



wdrodze.pl

Patronat medialny:

